



# DODATEK LITERACKI

## DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

### Henryk Rzewuski rywalem Jacka Soplicy.

Uważnego czytelnika *Pana Tadeusza* uderzyć może szczegół taki: Opowiada Jacek Soplica w swej spowiedzi przedśmiertnej, że kroplą dopełniającą miarę jego rozpaczyny miłosnej były zwierzenia Stolnika o konkurencie do ręki Ewy: Właśnie przyjechał do mnie swat kasztelanica... Wiesz, Wasze, że mam córkę piękną i bogatą, A kasztelan witebski! wszakże to w senacie Niskie drążkowe krzesło. Cóż mi radzisz, bracie?

Otrzymawszy ten cios, Jacek poszedł już wprost na swą drogę zatracenia, a zaręczyny i zamążpójście Ewy wkrótce stały się faktem. Umiłowaną jego, chudopachołka, otrzymał wielki pan, kasztelan witebski.

Tymczasem z dalszego opowiadania Jacka widzimy, że Ewa zaręczyła się i wyszła zamąż za ... wojewodę, by wnet wreszcie zakończyć swe nieszczęsne życie:

Córka Stolnika ze swym mężem wojewodą, Gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo.

Któż więc był mężem Ewy: kasztelan witebski, czy (bliżej nieokreślony) wojewoda? I dlaczego właśnie witebski kasztelan? Gdzie tam z Witebska do Horeszkowa! Najwyraźniej kryją się tu w tekście jakieś niejasności, czy zgoła nieścisłości. Szkopuł nas zatrzymuje i zaciekawia,

Oczywiście, najprościej byłoby machnąć nań ręką, powiedzieć, że dociąganie się tu po pocie sensu czy konsekwencji jest nieprzyzwoitą fanaberją komentatora, opętanego manją ścisłości. Poemat nie jest syllogizmem, a *Pan Tadeusz* to nie monografia historyczna. Poeta przecież tworzy żywiołowo. Pogląd taki (n. b. rodowodu jego szukaj w poetyce romantycznej) jest wygodny, ale w naszym wypadku nie wiadomo czy akurat trafny. Mniejsza o zasadnicze sprawy z poetyki czy psychologii twórczości, nawet

z psychologii Mickiewicza. Dość nam stwierdzić, że poeta o logikę wątku w *Panu Tadeuszu* dbał uważnie, że dociągał i wiązał w łańcuch konsekwencji szczegóły, z tego czy innego powodu nie od razu zharmonizowane. Widząc naprz., że wskutek pewnych przesunięć w pierwotnym planowaniu treści niezbyt jasno zarysowuje się chronologia treści, pośpieszył wyjaśnić w przypisach, że „Stolnik zabity został około roku 1791, za czasów pierwszej wojny”. Przykładów podobnych zebraćby można wiązkę sporą. Świadczą one, że pocie zależało na wewnętrznej logice akcji. Nie konkretyzując jej zbyt i nie poddając się w niewolę historii, nie chciał przecież, by czytelnik wplątany został niepotrzebnie w labirynt bezplanowości, by jakiś wyraźny dysonans niekonsekwencji czy nieprawdopodobieństwa niepokoił go w akcie poddawania się urokowi piękna. Nie, niema dobrej racji, by przyjmować, że poeta był nonszalanek wobec drobnych nawet szczegółów swego „pieszczonego dziecka”. Jeżeli pozostał niewłaściwie, to prawie zawsze takie, w których wykazać da się przecież pewien sens, dla których, czy to w naturze materiału treściowego, w ewolucji planu, czy wreszcie w świecie duchowym samego poety znaleźć można dostateczne uzasadnienie. Jeżeli zatem natrafiliśmy wyżej na taką niekonsekwencję, to warto zatrzymać się przy niej moment. Może przecież da się z niej co wynioskować.

W zaznaczonym wypadku nasuwałyby się mogło tłumaczenie takie; Naturalny bieg rzeczy kazałby przyjąć, albo, że Stolnik rekurował kasztelanica i oddał rękę córki jakiemuś wojewodzie, albo też, że kasztelan witebski w międzyczasie otrzymał godność wojewody. A jednak żadnej z tych alternatyw przyjąć niepodobna. Do drugiej z nich niema w tekście naj-



mniejszej podstawy, a pierwszej tekst ów najwyraźniej się sprzeciwia. Nieprawdopodobna, by Stolnik rekuował kasztelanica, z którym związek rodowy tak mu się uśmiecha, „zaćność domu, fortuny szczodroty“, senatorska godność najwyraźniej mu trochę imponuje. Dziwi to nas potrosze, ale tak jest. Powodów do odmowy nie widzimy zupełnie. Zaznaczona zatem skaza w wątku nie tłumaczy się niedopowiedzeniem, jest istotną niekonsekwencją. Skąd się zatem wzięła i co znaczy?

Przypuszczenie, które się tu zaraz wyrazi, ma za sobą pewne szanse prawdopodobieństwa. Pamiętamy mianowicie, że Mickiewicz parokrotnie w pogodnym rozradowaniu twórczem, trochę przez serdeczność przyjacielską, potrosze dla niewinnej krotchwili, wciąga w akcję *Pana Tadeusza* swych kolegów czy przyjaciół, przesadza w inne czasy, nazywając ich tam po imieniu i przydzielając drobne, epizodyczne role. Tą drogą dostali się do *Pana Tadeusza* „Zan i trzech Czczotów“, Domejko, a nawet sam Mickiewicz; z dalszych zaś znajomych — Grabowski, Tödwen, Różycki, a pierwotnie nawet pani Skorzeńska z Kopaszewa. Nie oni zresztą jedni. Poeta uśmiechał się przychylnie do tworzonego przez się świata i, żeby go sobie jeszcze rozjaśnić, wplatał weń osobistości sercu miłe.

Wolno zatem przypuścić, że taką żartobliwą aluzją jest w poemacie i ów kasztelan witebski, właśnie witebski. Mianowicie aluzją do Henryka Rzewuskiego, autora *Pamiętek Seweryna Soplicy*. Wiadomo, że znał się z nim Mickiewicz oddawna, że znajomość była bliska i zażyła. Cenił go wysoko za jego talent gawędziarski i rokował mu świetną przyszłość literacką; wielkie miał uznanie dla kilku pierwszych powiastek „Soplicy“, poznanych w Rzymie z rękopisu. Krytyka literacka ustaliła nawet pewne (nikłe zresztą) związki między owymi powiastkami a *Panem Tadeuszem*. Cenił poeta Rzewuskiego tem więcej, że długą nie gawędy wyciągnął on z kądzieli nowogrodzkich tradycy, że pierwszy dał poznać bogactwo anegdoty historyczno-obyczajowej tego najdroższego dla poety zakątka Polski. Racyj dość, by takiego znajomego (długo przed jego karkołomnemi paradoksami politycznemi) dobrze sobie wspominać.

Otóż H. Rzewuski był właśnie kasztelanem witebskim, po ojcu Adamie Wawrzyńcu, który w latach 1790—1793, t. zn. wtenczas, gdy się zawiązywał węzeł tragiczny w Horeszkowie, piastował był tę godność, siadał na senatorskiem krześle (nie niskiem drążkowym jednakże, bo kasztelanja witebska należała do większych). Tytułu kasztelanica używał H. Rzewuski chętnie, stosowano go też popularnie do jego osoby, że to aż wytworzyło zwykłą w jego kołach towarzyskich, a nawet w publicystyce peryfrazę nazwiska. Dla Mickiewicza i jego najbliższych w każdym razie termin „kasztelan witebski“ miał wówczas jedno i ściśle określone znacze-

nie. Poeta wprowadził go tedy w tekst swego utworu w formie żartu przyjacielskiego. Kasztelan witebski miał być rywalem Jacka Soplicy.

Koncept z wprowadzeniem Rzewuskiego w akcję *Pana Tadeusza* nie miałyby oczywiście ani odrobiny uzasadnienia chronologicznego (kasztelan ten w roku 1791 dopiero przyszedł na świat), ale uzasadniał się trochę, powiedzmy, terytorjalnie. Rzewuski przez matkę Justynę Rdułtowską, podkomorzanę nowogrodzką, był trochę nowogrodzianinem, bywałym w tamtych stronach, tam skoligaconym, a nie był przybyłym ze stron dalekich, osobnikiem nieznanym. Podobnie mają się sprawy w *Panu Tadeuszu*; widać z tekstu, że magnata konkurenta zna Stolnik zarówno jak i Jacek; choć nie padło jego nazwisko, nie mają wątpliwości, o kim mowa. Jest to wielki pan z niedalekiego sąsiedztwa. Podobnie i współcześni *Pana Tadeusza*, a bliżsi obu pisarzom, nie mieli wątpliwości, kogo oznaczał ów tytuł i czytając poemat zapewne chwyтали sens żartobliwej aluzji.

Oczywiście i tutaj, jak przy Zanie, trzech Czczotach, Malewskim, Domejce etc., poeta żartu nie przeciągał, dość mu było jednorazowego napomknienia; dowcip polegał właśnie na takim przelotnem, prawie niedostrzegalnem spojrzeniu i uśmiechu. Nad krotchwili górze brał w pocie natychmiast epik i materiał podsunęty przez żart kształtował, według nakazu wewnętrznej logiki architektonicznej. Asocjacji między rywalem Jacka Soplicy a Henrykiem Rzewuskiem dość było na jeden błysk oka. Rządzące przy budowie poematu prawo ładu kompozycyjnego wymagało, żeby rywal ten był dygnitarzem dużej miary. Ostatecznie kasztelanica zamało mogło być nawet Stolnikowi, który miał w rodzie „krzesła, wstęgi i buławy“, więc niskie drążkowe krzesło niezbyt mu powinno być imponować. A powtóre także ze względu na Zosię potrzebny był ten ojciec—wojewoda; pozbawiona majątku, nie była przecież byle kim:

Ale też nie jest z lada wsi, lada szlachcianka, Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest wojewodzianka!

Słowem, ma pozycję od Tadeuszowej wyraźnie wyższą. A to właśnie było pocie potrzebne, by ustalić charakter stosunku tych dwojga kochanków, a zwłaszcza stosunku i szans miłosnych Tadeusza. Z tych racyj m. i. stało się, że kasztelan witebski był rywalem Jacka przez czas dość krótki, ustąpił miejsca dostojnikowi wyższemu. Ale jednak był i co dziwniejsza, pozostał także w tekście ostatecznym poematu.

W *Panu Tadeuszu*, podobnie naprzykład jak na wielkich obrazach historycznych Matejki, z poza kostjumu i charakteryzacji historycznej niejednej postaci spogląda na nas twarz modelowana na którymś z współczesnych przyjaciół twórcy. Zbyteczna dowodzić, że to charakteru historycznego dziełom nie ujmuje bynajmniej.

Stanisław Pigoń.



# Reymont jako kolorysta.

URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.

Artyzm harmonizuje sprzeczności bytu, łagodzi okrucieństwo istnienia, poskramia brzydotę, wznosi oręż przeciwko ohydzie ponurych zjawisk życiowych. On jest niewątpliwie jedną z podstaw Reymontowego optymizmu. Jeżeli bowiem, mimo wszystko, piękno istnienia w końcu zwycięża, i tryumfuje, to oczywiście najbardziej uzasadnioną podstawą wobec świata musi być optymizm. Tembardziej uzasadniona, gdy się w swoim stosunku do życia nie pominęło mroków i cierpienia. A przecież fanatyczny realizm Reymonta był niesłychanie daleki od tej jednostronności. Raczej przeciwnie — zgromadzał mroki, skupiał posępne, groźne rysy bytu, aby je później rozproszyć i przemódz wiara w ostateczne zwycięstwo światła i harmonji. Nieulekłe zawieszał mosty nad przepaściami, aby zaś to osiągnąć nie posługiwał się ani marmurem, ani granitem, ani żelazem. Bezdenna otchłań wciągnęłaby w siebie bez śladu ten ciężki budulec. Ponad marmur, granit i żelazo — Reymont artysta wyżej stawia światło i barwę. Jest czarodziejem światła i barwy. Maluje stronice swoich książek najżywszymi farbami, pisze na nich blaskami słońca jakieś brylantowe i opalowe historie, że mającej oczom ludzkim czas długi jak witraże w mrocznej głębi kościoła. Jego wizja świata jest wizją nawskroś malarską. Jego malarskość — to najczystszy impresjonizm, dla którego, jak powiada Witkiewicz „żadna barwa w naturze niema dla naszych oczów stałego bezwzględego, niezmiennego tonu. Biała plama na tle jaskrawo-zielonym będzie się zdawała różową i naodwrot w stosunku do tła różowego — zielonym. Biała ściana domu w stosunku do czystej kartki białego papieru — brudnawo-żółta,“ tem bielszą zaś w stosunku do „ciemnej zieleni topoli“. (Mickiewicz, jako kolorysta str. 13).

Weźmy dla przykładu kilka opisów.

1) „Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ojciec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na niego... a ze ścian i okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte surowe twarze i smugi złota, purpury, fioleto, niby tęcza padały na jego twarz i głowę całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę“. (Chłopi t. I).

Albo:

2) „I nie słuchając dalszych relacji poszedł na salę, zalaną jarzącym światłem licznych pajaków, kapela pod wodzą Trzaski wygrywała jakoweś czule arje i opery, zaś Miecznik, przybrany w paradny czerwony kontusz spacerował sam jeden w ogromnej sali po lśniących pawimentach“. (Nil desperandum str. 84).

Światło przeobraża rzeczywistość w złudzenie, światło unosi duszę wiejskiego parobka ku Bogu. Ono towarzyszy ostatnim chwilom

Miecznika. „Jakby brał w siebie z Ciała i Krwi Pańskiej — wiatyk święty wschodzącego słońca“. Ono bywa źródłem niebiańskich wzlotów i zachwytołów, a walcząc z mrokiem daje widowisko, godne bogów. Reymont wysławia hymny na cześć światła, pierwiastka życiodajnego, a zarazem najwyższej piękności świata. Słońce źródło wszelkiej energii świetlnej jest dla niego przedmiotem kultu niemal religijnego.

3) „Dzwoniła śpieczona ziemia, dzwoniły sady pod ciężarem owoców, dzwoniły bory dalekie i te wędrujące chmury i ta przenaświętsza hostja słońca, wyniesiona nad światem“. (Chłopi t. IV).

Światło ożywia barwę. Ono jest duszą krajobrazów. Barwy mienia się pod jego zaklęciem i współzawodniczą ze sobą o pierwszeństwo. Niekiedy wszakże farba zdobywa sobie wartość samoistną, niezależną od dopływu i natężenia światła. Powstają wówczas opisy, warte zestawienia z płótnami starych mistrzów klasycznych, dla których w malarstwie istniały przedewszystkiem: kształt i barwa. Naprzykład.

4) „Na marmurowych szerokich schodach, prowadzących do królewskich pokojów, zasłanych szkarłatnym sukmem, przybranych w gobeliny, pomarańczowe drzewa i liberję w czerwonych frakach, stojącą na stopniach, uczynił się niemały ścisk i gwar. U szczytu tej barwistej drabiny — wielkie złożone podwoje były otwarte, stali w nich kadeci w paradnych koletach, w białych kulotach i ze strusiami piropuszkami na głowach, honorując wchodzących obnażonemi szpadami“. (Nil desperandum str. 268).

Ale ostatnim wyrazem kunsztu malarskiego są te opisy, w których światło, barwa i ruch zespalają się w harmonijną całość, podobnie jak głosy wielu instrumentów łączą się w symfonię. Powstają wówczas arcydzieła rytmu i kolorytu. Słowa toczą się, grają i świecą. Wzrasta napięcie dramatyczne i wyciska na całej wizji, mimo chaosu nagromadzonych w niej pierwiastków, niezatarte piętno jednolitości. Do takich niewątpliwych arcydzieł ruchu, światła i barwy zaliczyć trzeba: opis wesela Boryny, opis bójki chłopów w lesie, opis kuligu w Nil Desperandum, opis procesji wielkanocnej w Chłopach, dwa opisy szalonej jazdy sanną jeden w Fermentach, drugi w Nil Desperandum. Pozatem zresztą cały szereg mistrzowskich epizodów. Dla przykładu weźmy urywek z opisu kuligu. Kulig ten, jak huragan zwałił się w gościnne progi dworu Zarebów gdzie dogorywa Miecznik, ojciec Sewera Zareby, głównego bohatera trylogii Kościuszkowskiej.

5) „Po chwili pochodnie wystrzeliły w mrokach rozmigotanemi, krwawemi miotłami, długi kręty wąż sani zaczął na śniegach, jeźdźni pędzili naoslep przez zasy i pola, zabrzęczały dzwonki i janczary, huknęły śpiewania i muzyka urzęnęła od ucha, siarczyście na bij zabij. Hej kuligiem jechali, kuligiem



nad kuligami. Sto sań skrzypiało po śnieżystej grudzie, sto sań leciało z wichrami w zawody, sto sań niosło się z grzmotem, jak burza rozśpiewana weselem, pijana mocą i radością oszalała. Konie widziały się podobne smokom, w brzękadłach, w siatkach pozłocistych, w rzędach i wstęgach barwistych, puszczone na wiatr, rwały aż ziemia jęczała i z pod kopyt śniegi tryskały fontanami. Na przodzie w siwe ogiery w purpurowych siatkach i piuropuszcach, jechał weselny starosta wraz ze starością, za nimi żydy muzykanty grały ze wszystkiej mocy. A potem migotał nieskończony łańcuch: sanie za saniami, para za parą, sunęły rozgłośnie, rześście i bujnie, przysłonięte płomieniami wichrami pochodni. Jakoby zjawiona w nocnej godzinie bajka o zaklętych korowodach, mar i upiorów". (Nil Desperandum).

Drugim czynnikiem konstruktywnym w twórczości Reymonta jest, obok artyzmu surowy instynkt moralny. Przeczem oba te czynniki artyzm i zmysł moralny uzupełniają się nawzajem w sposób harmonijny. Wzniosła, czysta jak śnieg na wyżynach treść etyczna mieści się całkowicie w formach artystycznych, niby szlachetny trunek w misternie rzeźbionej wazie. I nigdy się tak nie zdarza, aby morał wyznaczał drogi artyzmu, lub żeby artyzm wciągał w swe zakłętą koło zjawiska, niezgodne z moralną podstawą twórcy wobec świata. Zawsze panuje umiar, zawsze duch treści harmonizuje z cechami artyzmu.

Świat moralny wyobrażony w powieściach Reymonta, owiany jest tchnieniem surowej etyki społecznej. Człowiek musi tak działać, aby przysparzać najwięcej szczęścia gromadzie, w której żyje, kto zejdzie z tej twardej drogi obowiązku, pada ofiarą własnych nieokreślonych zapędów, które spychają go nielitościwie na dno upadku. Sprawy osobiste muszą ustąpić wobec żywotnych praw ogółu. W trylogii Kościuszkowskiej Rejmont wystawił nocnie obywatelskiej pomnik mocniejszy od spiżu, pomnik, którego nie strawi ani czas, ani ślota. Był to najwyższy objaw zmysłu społecznego u autora, który swym bohaterom kazał stopniowo podporządkowywać się — najpierw w drobnej kaście wędrownych aktorów, później interesom wielkiego przemysłu, później ogromnej żywotnej warstwie chłopskiej, wreszcie — narodowi. W „Nil Desperandum“ czytamy słowa, które zakres obowiązku jednostki rozszerzają na całą ludzkość, a w „Buncie“ mamy realny dowód, że myśl naszego pisarza wznosiła się już w okrąg najwyższy, obejmując dzieje świata i dzieje człowieczeństwa w ogólności. Łopot skrzydeł ducha, który rwie się ku tym wyżynom słyhać wyraźnie w następującem Confiteor.

„Z woli człowieczej powstają światy. Trzeba przewyciężyć samego siebie. I podnieść krucjatę o najświętsze dobra ludzkości, choćby się miało paść w nierównej walce i tylko swoją śmiercią dało świadectwo prawdzie i hasło przyszłym pokoleniom — niechaj powstają jedno po drugim, niechaj walczą, póki dusza narodu nie wykuje się w cierpieniach na kształt doskonalszy i obrazem cnót i męstwa się nie stanie“. (Nil Desperandum).

Przypomnijmy sobie, jak kończy się trylogja. „O wczesnej dosyć porze zjawili się Zareba i Ceśka ze stryjem, którzy byli zjechali do Warszawy wczoraj po południu. Porucznik, stratą tyłu przyjaciół dotknięty dawał postać wielce przygnębionego. Ceśka zaszlochała przy trumnach, zapłakał i stryj Onufry, dawny towarzysz pancerny starego Radziwińskiego. Wreszcie przemógłszy żalność, poszli do ojca Serafina, dogorywającego w swojej cichej samotnej celi. Powaliły go śmiertelne rany“. (Insurrekcja).

Insurrekcja rozbiła zdruzgotała szczęście wielu jednostek, zadała cios śmiertelny niejednemu sercu, krwią ofiarną zalała bruk stołeczny, oświeciła go pożogą, usłała trupami. Mimo to jednak „o zmierzchu rozblysły rześciste iluminacje, powywieszano transparenty, po oknach ukazały się ogniste kolumny z napisami, z portretów Kościuszki uczyniono jakby ołtarze, pełne światła i kwiatów. Tu i ówdzie zagrały kapele“.

Tak tedy duchem, który ożywia ostatnie wielkie dzieło Reymonta — jest starorzumska virtus, męska cnota publiczna. Imiona obywateli — nią ozdobionych ryto zawsze na płytach marmurowych, aby po wszystkie czasy utrwaliły się w sercu potomnych.

Zygmunt Falkowski.

## Na smutne wieści z Watykanu.

1.

Nie zna nikt bytu ostatniej godziny,  
Lecz co oblegnie kiedyś smętne łożo?  
Nawoływania od jakiej krainy —?  
Błogosławieństwa? lub pogróżki Boże?...  
Monarchów wielu odpomną swe czyny,  
Purpurę miecąc nogą jak rogozę;  
Gdy ręce będą wyciągali drżące,  
By wrócić fakta — niepowracające!...

2.

Atoli ówdzie, w cichym Watykanie  
Żaden lud z piersią nie stanie rozdarta,  
Władateś!... grożąc — a wiesz co wygnanie?  
Co praw — odjęcie? Lud żaden nie stanie  
W więzach, bez wspomnień, iż lżę mu otarto.  
Im w Europie większe zamieszanie,  
Któż, odkąd dzieje poczynają istnieć,  
Rad się jak Pius u-bez-osobistnieć?

3.

Nie jak Assurskie bogi i pół bogi,  
Pijaństwo — siebie mające za władzę.  
Wrażali ludom pod żebra ostrogi, —  
Lecz znikły na wpół, a cały w powadze,  
W mówieniu razem i silny i błogi,  
Głoszący prawdę ogłędnie a nadze —  
Maż doskonaly! który wciąż rósć będzie,  
Iż był tam, gdzie jest, i ten sam co wszędzie.

4.

Bywa, że doba większa jest od pracy,  
Lub treść od słusznych względów arystarchy,  
Więc nie Augustom śpiewa to Horacy,  
Śpiewając jednak dla Rzymu - Monarchy.



— Ludy wygnane, smętni i żebracy  
 Jako w potopu dzień ptaetwo do Archy  
 Leca, pytając o *Starca*... pytają  
 O siebie samych — i o świat — i łkają.

Cyprjan Norwid.

Paryż, 1877, grudnia.

*Uwaga.* Wśród wspaniałych uroczystości katolickich, których świadkami jesteśmy w ostatnich tygodniach, należy przypomnieć powyższy utwór C. Norwida, przystający dobrze do uczuciowego nastroju chwili, a będący jednym z klejnotów poezji polskiej. Wiersz tu pomieszczony powstał przed laty blisko 50, drukowany był w *Czasie* krakowskim w początku 1878 r., poczem uległ zapomnieniu.

Jest to wiersz o Piusie IX. Norwid przejęty był uwielbieniem dla tego wielkiego papieża, w r. 1848 należał do tych, co pośpieszyli

z czynną obroną Kwirynałowi, atakowanemu przez rewolucjonistów. Już to drugi raz poświęca autor postaci „Starca” strofy poetyckie; encyklikę w obronie Polski powitał Norwid w r. 1867 odą: *Encyklika obleżonego*. Wiersz zaś powyższy wywołany został „smutnemi wieściami z Watykanu”, mianowicie wieściami o chorobie Piusa IX, która go zresztą wkrótce (z początkiem lutego 1878 r.) przyprawi o śmierć.

Norwid, — jak tu niedawno o nim czytaliśmy — najbardziej katolicki z poetów polskich, czyni z poematu coś więcej niż tren utrapionego. Po przez zamierzającą postać Piusa IX jawi mu się wizja wyrastającego nad wieki Papieża Doskonałego, pasterza i obrońcy ludów, wizja papieżstwa, jakże odmienna od tej, jaka się przemyka przez końcowe karty *Irydiona!* W ten sposób staje się utwór ten wspaniałym peanem na cześć Kościoła i podźwigającej go Opoki.  
 St. P.

## Hołd poecie.

Konrad Górski „Tatry i Podhale w twórczości Jana Kasprowicza”.

Staraniem Zakopiańskiego Komitetu Jubileuszowego dla uczczenia Jana Kasprowicza ukazało się świeżo studjum, omawiające stosunek wielkiego poety do Tatr i Podhala, do całego świata tatrzańskiej przyrody, oraz do jego ludu. Skromne to, lecz wartościowe i bardzo starannie wydane dziełko pojawia się po przedwczesnym zgonie Kasprowicza jako wyraz hołdu serdecznie przezeń umiłowanej krainy górskiej. Brzmi w niem także szczerze odczucie przeżyć myślowych wielkiego pisarza.

Miało Podhale różnych swoich piewów. „Odkrył” niegdyś zatajone powaby Zakopanego Stanisław Witkiewicz; Kazimierz Tetmajer skreślił żywą i barwną legendę Tatr, pragnąc podobnie jak Władysław Orkan, wnieść do literatury poezję ziemi ojezystej. Wspominali urok tatrzańskich okolic Goszczyński, Wincenty Pol, oraz inni poeci i pisarze. Kasprowicz wysuwa się z pośród nich na pierwszy plan zarówno mocą swego talentu, jak głębokiem umiłowaniem świata górskiego i szczerem wniknięciem w jego życie.

Autor szkicu analizuje bardzo sumiennie stosunek Kasprowicza do gór, doszukując się w utworach jego wszelkich śladów wpływu, jaki przyroda tatrzańska wywarła na poetę. Wpływ ten był silny od początku, lecz przechodził różne fazy, zgodnie z przeobrażeniem, jakie dokonało się z biegiem lat w umyśle i światopoglądzie poety.

W pierwszym okresie męczącego pasowania się z życiem, w okresie buntu przeciw cierpieniu i śmierci, przeciw wszelkiemu złu, góry stały się dla Kasprowicza objawieniem mocy, potęgi i złowieszce bodaj siły. Równocześnie jednak urok ich przyciągał poetę, działał nań

kojąco, a dłuższe obcowanie z cudami przyrody, wobec których znikomem się staje mrówcze życie człowieka przyczyniło się może w pewnym stopniu do wytworzenia w duszy poety tego nastroju mądrej równowagi i pogody, którym tchną późniejsze, a zwłaszcza ostatnie jego utwory.

„Bezkresna tęsknota, smutek, groza, świadomość wszechwładztwa bólu znajdują w nastrojach górskich swoje potwierdzenie, choć zostały zresztą wysnute z refleksji nad całością życia” — streszcza wywody swoje K. Górski. — „Dodatnie nastroje gór nie mogą złamać berła nocy tak długo, póki zagadnienia moralne i religijne nie znalazły swego rozwiązania. Dopiero w miarę stopniowego rozwikłania męczących problemów i coraz bliższego zżycia się z górami „radość ze słońca poczęta” mogła się stać naczelnym motywem Kasprowiczowskiej pieśni o górach”.

Te nowe nastroje znalazły wyraz w „Księdze Ubogich” i w „Moim Świecie”. Poeta zawarł tu uwielbienie dla objawionych w przyrodzie tatrzańskiej tajemnic Bożych i wyśpiewał całą radość codziennego obcowania z jej pięknem.

„Poezja Tatr—mówi słusznie K. Górski—zostaje wzbogacona o jeden ton: o piękno życia domowego wśród gór, które przestały być zjawiskiem wspaniałem, pięknem, ale obcym, stały się natomiast jakby drugą ojezyczną, rodzimą, głębą, kształtującą duszę człowieka od lat dziecięcych. Poeta czerpie soki żywotne z tej przybranej gleby, jakby drzewo, co przesadzone na nowy grunt, dobrze się na nim przyjęło. W samym pomysle napisania „Księgi Ubogich”, w świadomem akcentowaniu, że „niewielki jest obszar życia, po którym się poeta „niedoleźnie



wałęsa“, że dom jego malutki, a zagroda ciasna, że w otoczeniu, w którym żyje, niema nie szczególnego, zaznacza się nieustannie moralna postawa prostoty, osiągniętej w stosunku do zbratanej z człowiekiem przyrody“.

Dzięki temu zbrataniu się, wniknięciu w życie przyrody, zbliżył się także Kasprowicz w szczególniejszy sposób do ludu podhalańskiego. Oświadczył wszak kiedyś:

„Sercu memu najbliżsi maluczcy i przeubodzy“, to też z upodobaniem śledzi bytowanie prostaczków, ludzi ubogich duchem, traktując ich jak przyjaciół, a gdy zapragnie przemówić o górskich sprawach, czy przygodach, wiersz jego dostraja się przedziwnie do kolorytu miejscowego, zapożycza swobodnie wrażeń i zwrotów z gwary podhalańskiej, lub nawet staje się przesiąknięty melodią zbójnickich piosenek.

W zbiorze p. t. „Mój Świat“ znajduje się cały szereg wierszy, malujących różne typy ludowe. Gdy bowiem początkowo mieszkańcy Podhala byli dla poety abstrakcyjnymi raczej postaciami, istotami odpowiadającymi jego poetyckiej fantazji, z biegiem lat zżył się on z nimi w obcowaniu codziennym, więc stali mu się tem bliżsi i choć stracili może pewne powaby, występują w poezji z całą wyrazistością i właściwymi cechami.

Przejęty do głębi spokojem i pogodą, jakie napęłniły mu duszę, odczuwał Kasprowicz gorąco jedno pragnienie: rad oto byłby podzielić się z bliźnimi osiągniętą mądrością w przeświadczeniu, że przyniosłaby im także szczęście i ukojenie. Wołał zatem:

„Ludzie, kochani ludzie!  
Gdybym tak mógł, jak nie mogę,  
Wyzwoliłbym waszą duszę,  
Na skalną pchnąłbym ją drogę“

wierząc, że w obliczu nienaruszonej w majestacie zwym i pięknie przyrody jawią się człowiekowi prawdy i że wysiłek fizyczny połączony z moralnym wysiłkiem i wrażeniem zdolne są odkryć nowe horyzonty zarówno dla duszy, jak dla oka.

„Do tego doszedłszy kresu,  
Stanąwszy na takim szczycie,  
Uczulibyście, jak wolnem  
Nieskrepowanem jest życie“...

Kiedy zaś umysł nauczy się już zwracać ku rzeczom wyższym, wystarczy mu tylko spojrzeć wokoło, by uprzytomnić sobie własne skromne stanowisko wśród reszty świata i nie rościć wówczas wygórowanych pretensyj wobec życia.

„Ta jedna licha drzewina —  
Nie trzeba dębów tysięcy! —  
Z szeptem się ku mnie przegina:  
„Jest Bóg i czegoż ci więcej?“

Wszystkie charakterystyczne dla Kasprowicza dążności i nastrój zestawili i podkreślił K. Górski bardzo umiejętnie. Czytelnik nie znający całej twórczości poety może na podstawie powyższego szkicu nabrać pojęcia o właściwościach talentu Kasprowicza, zarówno jak o myśli przewodniej jego utworów. Zgodnie z duchem poety zaakcentował autor szkicu bardzo dobitnie podniosłą i afirmacyjną nutę, będącą podstawowym brzmieniem ostatnich Kasprowiczowskich poezyj, wytrwale głoszone przekonanie

„Że tylko życie prawdą jest,  
A śmierć jest złudną marą“.

## Z Włochami przez Kresy Polskie.

Nie dalej jak przed dwoma tygodniami odwiedziła miasto nasze wycieczka włoska, składająca się z pięciu przedstawicieli pobratymczego nam duchem narodu włoskiego. Wycieczka zwiedziła całą Polskę, dłużej jednak niż gdziekolwiek zatrzymując się w Wilnie. Towarzyszący wycieczce p. P. opisał barwnie swe wrażenia na łamach „Kurjera Poznańskiego“, skąd pozwoliliśmy sobie przedrukować ten artykuł, interesujący niewątpliwie i dla naszych czytelników, w pierwszym zaś rzędzie dla tych, którzy mieli sposobność zetknąć się osobiście z tak miłymi gośćmi. Słusznie autor artykułu podkreśla zauważaną wszędzie, gdzie tylko zawiatała wycieczka na krótszy lub dłuższy postój, łatwość wzajemnego serdecznego zbliżenia się pomiędzy gospodarzami a gośćmi.

Swoją drogą, usuwała tu przeszkody w pierwszym rzędzie znajomość naszego języka, ale bodaj bardziej jeszcze niewątpliwie pokrewieństwo psychiczne.

W Poznaniu czuli się jak u siebie. Ale za to wieś polska była dla nich nowością. Znali

ją tylko—z „Pana Tadeusza“. Więc też szeroko otwierali oczy, kiedy w przemilem Cichowie z prawdziwym dworem polskim się zetknęli. Typowy pejzaż polski ze smugą lasu zadumanego nad wielkim stawem, dalekie tło pól, park przepiękny, tonący w blaskach sierpniowego słońca, bajkowy w miesięcznym poświacie, — dom pełen kultury, dziecięcym śmiechem rozjaśniony, po staropolsku serdeczny i gościnnie. A na tem tle—dożynki o charakterze naprawdę rodzinnej, patryarchalnej uroczystości. Nasze Włochy, przedstawione dożynkowej gromadzie przez zacnego gospodarza, prawdziwego żołnierza ziemianina — dały się porwać z łatwością ogólnemu nastrojowi i puściły się w płąsy z przodownicami. Maluczko—maluczko, a wnetby zamasztył profesor z Padwy polskiego oberka zatańczył.

W Warszawie utonęli wkrótce w wirze wizyt, konferencyj, herbatek i recepcyj. Aby nie oszołomieli zupełnie, trzeba ich było wyrwać stąd coprędzej na rozległe kresowe ziemie. W Wilnie kultura wschodnich polskich rubieży



zastanowiła ich swą odrębnością i żywotnością, przechowaną przez wieki. Szacunkiem napelniło ich zwiedzenie starannie rozbudowanego czcigodnego uniwersytetu i Mickiewiczowskich pamiątek. Ostrobramskiej smętnej Madonnie pokłonili się nisko, czcigodnym murem św. Anny i Bazyljanów, zachwycił ich wspaniały, jedyny bodaj barok św. Piotra i Pawła na Autokolu — włoskimi rękami wzniesiony. Podziwiali zbiór fotografii Bułhaka i szlachetne piękno ludowych tkanin skwapliwie na pamiątkę zakupionych. Widzieli uroczysty ingres nowego arcybiskupa, byli na raucie, wydanym na jego cześć w salach, gdzie ongiś Nowosilcow hucznie bałe urządził. Przyjrzeni się tu bliżej naszej kresowej ludności różnolitej, bujnej, zamasyżowanej. Były tam i prawosławne jakieś archireje i ihumeny, i mułła tatarski, i litewskich „żubrów“ poczet spory.

Nazajutrz skrzydlate auta poniosły ich ku Trokom i litewskiej granicy. Otworzyły się przed Włochami szerokie kresowe ziemie, ukazały swe rany wojenne dotąd niezabliźnione, swe obszary bezkresne, a niezaludnione, lasami szumiące. Rwały auta jak z kopyta szerokimi „polskimi“ drogami. Jesienny, północny wicher smagał włoskie liczka słońcem wypieczzone, kulili się też przed nim we troje Włoszkinieboraki. Nie chcieli wierzyć, że to już blisko północnego bieguna, że lada chwila wataha wilków wypadnie z leśnych głębin i wicher śniegiem zacznie prosić.

Wpadliśmy do Trok. W starodawnej farze, pamiętającej Jagiellove czasy, odbywało się uroczyste nabożeństwo. Brzmiał piękny śpiew chóralny, w nawie głównej feretrony zdobne kwieciami, otoczone dziewczętami w bieli — jakby echa jedenastej księgi „Pana Tadeusza“. Niezwykle ciekawą była wizyta u karaimskiego imama, p. Firkowicza, który piękną polszczyzną odpowiadał na różne pytania, stawiane mu przez Włochy, z dumą wspominał stare przywileje królów polskich, podkreślał wciąż różnice dzielące zasadniczo Karaimów od Żydów,

pokazywał księgi religijne, pisma i publikacje. Wsłuchiwały się Włochy w dziwne chazarsko-tatarskie dźwięki i wielce się temu wszystkiemu cudowały.

Po romantycznej wyprawie łodziami do ruin trockiego zamku — obiad w kasynie bataljonu straży pogranicznej w miłym a pożądanym towarzystwie inteligentnych i gościnnych polskich oficerów. A że to na kresowej byliśmy stancy, więc o pogranicznych stosunkach z Litwą potoczyła się pogawędka, o napadach szaulisów, o litewskich bandyckich metodach. Tu u granic barbarji, na rzetelnych kresach na dobre zalatywało Azją i tatarszczyzną i niedawną wojną. Więc prof. Maverowi, co niedawno w Poznaniu „Trylogję“ w oryginale pochłoniął, pana Wołodjowskiego stancya na Dzikich polach przypomniła się jak żywo.

Wkrótce mknęliśmy z wiatrem ku litewskiej granicy w towarzystwie jednego z oficerów — coraz to podlejszemi drogami, przez coraz to większe pustkowia aż ku strażnicy pogranicznego plutonu. Niezapowiedziani zupełnie dobiegamy do miłego, drewnianego domku, otoczonego ogródkiem. Zgłasza się śmigły podoficer i prowadzi przez izby. Wszędzie wzorowy porządek, czystość, śmiałość, nawskroś wojskowe zachowanie się żołnierzy — aż dusza się raduje. I biblioteczka skromna gdzieś w szafce osobnej się tuli, pilnie czytana i obrazków różnych nie brak. Nie strażnica to tylko wojskowa, ale i placówka kultury zarazem. Widać było odrazu, że zaimponowało to wszystko Włochom. A potem pod eskortą wyprawiliśmy się na samą granicę, co biegła w pobliżu wąską ścieżką, oznaczoną zrzadka słomianymi wiechami. Stali na niej dwaj litewscy strażnicy z niemiecką odzianą i zpodobną na naszą ekspedycję patrzyli. Zagadywani na różne sposoby, milczeli jak pnie.

O zmroku już pędziliśmy z powrotem ku Wilnu, unosząc żywe wspomnienia polskiego wojennego pogranicza. W Warszawie rozproszyła się cała nasza gromadka.

## DWA WŁOSY.

Sidowi Kaddur ben Gabrit na pamiątkę dar Glani.

W owych odległych czasach góry Moghrebu były jeszcze całkiem dzikimi górami. Zamieszkiwali je rozbójnicy i dobrze im się działo. Władza ich była niemal zupełnie nieograniczona, ponieważ Magzen, który po wszystkie czasy był oficjalnym zastępcą sułtana, miał ze swej strony władzę nader ograniczoną, szczególnie w zakresie przestrzeni, Francuzów zaś, którzy przynieśli do Maroku dobrodziejstwo pokoju, w tym czasie wcale tamże nie było. Dlatego to w górach położonych, między Atlasem Średnim i Wielkim, w pobliżu źródeł rzeki Um-rer-rebbia, żył sobie pewien mężny człowiek, kaid z urodzenia, a amrar z wyboru rodaków. Ludy europejskie wyraziłyby się, że został dowódcą plemienia z łaski Allaha i woli ludu. Władzy

ów Kaid amrar używał wedle najlepszego swego zrozumienia. Opanował wszystkie wawozy, znajdujące się z obu stron rzeki Um-rer-rebbia i urządził w nich rodzaj posterunków celnych, pobierających myty od podróżnych. Istotnie siłą zatrzymywał wszystkie karawany i łupił je bez miłosierdzia. Z tej racji całe plemię opływało w dostatki, a Kaid-amrar — źródło to i przyczyna tych dobrodziejstw, które za jego pośrednictwem Allah zlewał na mężczyzn, kobiety i dzieci tego plemienia, tudzież na trzody i zbiorę — zażywał w spokoju radosnej słodyczy, boskiej nagrody, należnej tym wszystkim, którzy spełniają swe obowiązki i którym Prorok zgotował wieczne szczęście w raju.

Stało się jednak tak, że w pałacu w Fezie



zmarł sułtan — oby Allah przyjął go do wiecznej chwały — a na tron wstąpił inny sułtan — oby Allah miał go w swej wiecznej opiece! Otóż ten władca nie zadawała się faktem, że jest Kalifem, ale zapragnął zostać władcą i wodzem wszystkich wiernych, człowiekiem, przed którym drży wszelka ludzka istota.

A tymczasem Kaid-amrar, ukryty za dalekimi górami, łupił po dawnemu podróżnych i obdzierał karawany. Sułtan rozkazał mu zaniechać owych rozbojów. Kaid-amrar zważył na jednej szali swego rozumu rozkaz sułtana i jego możliwy gniew, na drugiej pomyślność i szczęście swego plemienia i doszedł do wniosku, że ten ostatni wzgląd powinien zwyciężyć — przeto nie posłuchał rozkazu. Wówczas sułtan wysłał przeciw Kaidowi swego mehalla, wydawszy mu rozkaz dostawienia opornego ze związanymi rękami i nogami.

Mehalla udał się w góry, zabrawszy ze sobą żelazną klatkę dla więźnia. Ale Kaid-amrar obsadził wszystkie wąwozy Atlasu Średniego i wszystkie przesmyki Atlasu Wielkiego, przeto mehalla powrócił pobity, zostawiwszy wiele trupów za sobą. W żelaznej klatce, która stała się łupem zwycięzcy, Kaid-amrar zamknął dwa lwy, pojmane żywcem.

Sułtan, pełen słusznego gniewu, zwołał swych doradców, chcąc zasięgnąć ich zdania. Milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć. Wieczorem zaś tego samego dnia, zwrócił się z prośbą o radę do swej starej piastunki. Okazało się, że starszuszka posiada więcej sprytu, niż wszyscy członkowie rady. Zabrała głos i rady udzieliła. Skutkiem tego w jakiś czas potem, cudna Czerkieska, należąca do sułtańskiego harem w Fezie, opuściła stolicę i udała się z niewielkim orszakiem w góry.

Żołnierze Kaida-amrara zatrzymali ją w jednym z górskich wąwozów. Nie chciała opłacić myta i milczała pogardliwie. Zaprowadzono ją przed oblicze amrara. Młody władca pokochał ją.

Miała włosy jasne koloru stęzalego złota. Kaid-amrar rozkochał się w blaskach, bijących z warkoczy niewolnicy, przestał miłować światło dzienne i promienie słońca. Zapomniał dla niej o prawach honoru i godności, stracił miarę i rozwagę.

To może miała na myśli stara piastunka sułtańska, sprytniejsza, niż wszyscy członkowie Wielkiej Rady... sprytniejsza, niż sam Kaid-amrar...

Dnie mijały, potem tygodnie, potem miesiące. Po upływie roku Kaid zaprzepścił duszę w onej miłości. Zdawało się, że serce Czerkieski bije w jego piersi.

Pewnego wieczoru niewolnica znajdowała się w namiocie swego dostojnego kochanka. W pewnej chwili spytała go niespodzianie:

— Czy oparł byś mi się gdybym chciała związać twe ręce i stopy żelaznymi łańcuchami?

Taid odpowiedział:

— Tobie nie opierałbym się weale.

— A gdybym, związawszy twe ręce i sto-

py żelaznym łańcuchem, wezwała twych wrogów i wydała cię im, co byś uczynił?

Patrzył na nią uważnie i mocniej przygarnął do siebie.

— Jednym szarpnięciem rąk zerwałbym łańcuchy i pozabijał wrogów. Pan dał mi wielką siłę.

Mówił prawdę. Czerkieska wiedziała o tem. Siła jego była niezmierna. Mógł dokonać tego i jeszcze więcej...

Po chwili rzekła znowu:

— A gdybym związała twe ręce i stopy włosiem wyrwanym z mych warkoczy, czy opierałbyś mi się?

Odpowiedział tak, jak poprzednio:

— Tobie nie opierałbym się weale.

Zawahała się, a potem ciągnęła dalej:

— A gdybym, związawszy twe ręce i nogi, wezwała twych wrogów?

Popatrzył na nią ponownie i zlekka odsunął się od niej:

— Czyż nie powiedziałem ci, że tobie nie opierałbym się, ani niezem, co byś ty uczyniła. Wszystko, co od ciebie pochodzi, dobrem jest. Więzów z twych włosów bym nie rozerwał, cokolwiek by się zdarzyć miało.

Znała go — wiedziała, że nigdy kłamstwo nie skalało jego ust.

Wówczas powstała prędko. Prędko wyrwała z głowy jeden włos i związała nim ręce Kaida. Następnie drugim włosiem spętała jego stopy.

Wyprostowała się, klasnęła w ręce i krzyknęła głośno.

Na krzyk jej ludzie, ukryci poza namiotem, wpadli do wnętrza i rzucili się na spętanego. Kaid patrzył spokojnie na nią, ale nie zerwał ani jednego, ani drugiego włosa.

Nie wezwał również nikogo na pomoc.

A jednak na krzyk jego przybiegłoby mnóstwo nieulekłych wojowników...

Wolał jednak ulec przemocy zdrady. Pozwolił się uprowadzić i dostawić swemu wrogowi, sułtanowi Moghremu, który, jak już wspominałem, zadał mu śmierć okrutną i pełną męczarni.

Tak skończył Kaid-amror, władca o duszy wznioślejszej niż dusza Samsona, którym się chlubią żydzi — te psy niewierne, i synowie psów.

\* \* \*

Tę historję opowiedział mi szlachetny przyjaciel, sid Kaddar ben Gabrid, kanclerz Jego Najjaśniejszej Mości Szeryfa w Marrakech podczas wspianego obiadu, spożywanego przy stole Kaida Glana.

Tyle opowiada legenda Berberów z Moghrebu — lwów i synów lwich.

Oby Allah miał nas zawsze w swej świętej opiece!

Claude Farrere.

Marrakech, 1920.

(Claude Farrere, słynny pisarz francuski, znawca Marokka i przyjaciel Arabów).